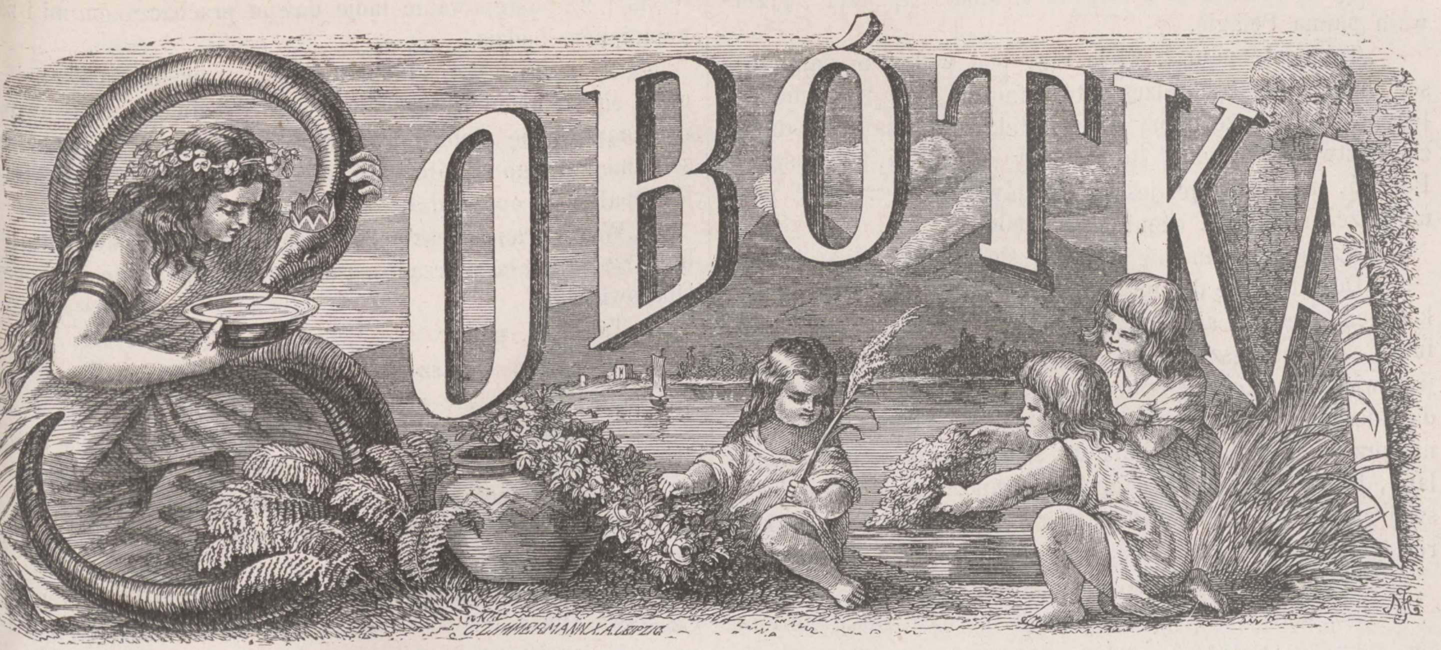
Nr. 34. Poznań, dnia 19. Sierpnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Dokończenie.)

VIII.

W mieszkaniu panny Pelagii zgromadziły się znowu trzy osoby działające w naszéj powiastce.

Panna Pelagia była poważna i smutna, Czesław Duś niespokojny, Opałowicz rozpromieniony i szczęśliwy.

Stosownie do przyrzeczenia Józef rozpoczął opowiadanie o bezinteresownéj przysłudze jakiéj doświadczył od Czesława.

Czesław cały zmienił się w słuch.

„Wypadki o których mówić będę", zaczął opowiadający, „i których dla zrozumiałości pominąć nie mogę, działy się dawno, za życia jeszcze naszéj matki. Czesław zostający pod ciągłym jéj dozorem, wiedzieć o nich nie mógł, ani ich się domyślał, były to rzeczy zbyt drażliwe dla chłopca wychowywanego na panienkę."

„Słuchamy", rzekł Czesław, zdradzając się w ten sposób, jak mu pilno było całość usłyszeć.

„W owym czasie zakochałem się w młodéj, ładnéj, poczciwéj ale biednéj dziewczynie. Matka nasza miała oko bystre i łatwo spostrzegła tę miłość. Czesław bez trudności się domyśli co mi o niéj mogła powiedzieć."

„Miłość o głodzie sprzykrzy się i wojewodzie, to było jéj ulubione przysłowie", odpowiedział Czesław.

„Tak... nie dosyć na tém, powiedziała mi także, że jeśli komukolwiek wolnoby było marzyć o takich związkach, to nie mnie, gdyż mając brata kalekę przyrzekłem zrzec się dla niego mojéj części majątku, gdybym się więc ożenił z biedną panienką, mógłbym kiedyś przyciśnięty nędzą stać się ciężarem dla tego brata, któremu powinienem był dopomódz i którego postanowiłem obdarzyć."

„Słusznie", rzekł Czesław, ale tak cicho, że ani panna Pelagia, ani Opałowicz nie zwrócili na to uwagi.

„Pojmiecie państwo, że nie bez walki uległem temu rozumowaniu. Argumentacye matki czyniły miłość moją zakazanym owocem, który, jako zakazany tém więcéj miał dla mnie ponęty. Postanowiłem bądź co bądź dopiąć swego, wyznałem moją miłość, dowiedziałem się, że byłem kochany wzajemnie. Byłem upojony, szczęśliwy... Odkrywszy mi jednakże stan swojego serca, osoba, którą kochałem zażądała odemnie i musiałem jéj wyznać jak się matka zapatrywała na ten stosunek. Gdy usłyszała jéj zdanie, powiedziała mi z płaczem, że powinienem wypełnić wolę téj, która mi dała życie, a jéj powinienem unikać, gdyż zbyt dużo w sercu mając dla mnie miłości, a będąc istotą z krwi i kości, nie jest pewną czy zdoła długo uchronić się od upadku i zachować dla mnie szacunek, oraz zasługiwać na szacunek z mojéj strony. Nie broniła mi, żebym się z nią widywał, honor swój z całą ufnością oddawała w moje ręce, i..."

„Spodziewam się, że się nie zawiodła na panu“, przerwała panna Pelagia.

„Tak jest, pani... wiele razy pod wpływem namiętności byłem blizki zdradzenia téj ufności, jaką we mnie położyła, ale zawsze dobry pierwiastek w méj naturze odniósł zwycięztwo nad złym. Rozstaliśmy się czyści, ja opuściłem Poznań, i... wierząc jeszcze podówczas w trafność zdań nieboszczki matki... ożeniłem się bogato.“

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi Opałowicza.

„Dostatek nie dał mi szczęścia“, mówił on dalej, „przekonałem się, że aby być szczęśliwym potrzeba zadowolnić inny, szlachetniejszy organ, a nie żołądek, że szczęście zbyt jest wielkie, żeby się pomieścić mogło w najpełniejszéj bodaj kieszeni, że doktryny mojéj matki, chociaż powszechnie przez praktycznych ludzi na świecie uznawane i podzielane, były jednak doktrynami błędnemi... Odpłaciłem ciężko swój zawód, bo mi smutno ubiegła ta epoka życia, w któréj życie dla człowieka ma najwięcéj rozsądnéj wartości.“

Opowiadający zadumał się smutnie.

„Cóż daléj?...“ rzekł po chwili Czesław Duś, któremu się spieszyło usłyszeć koniec, i którego sentymentalność Opałowicza zaczynała nudzić i niecierpliwić.

„Poczekaj, dowiesz się wszystkiego niedługo... opowiadanie moje zbliża się do końca... Zostałem wdowcem, nie wiedziałem co się działo z tą, którą kochałem w latach młodych... dowiedzieć się o tém nie było trudno, ale czyż dowiedziawszy się byłbym już przez to poznał stan jéj duszy? Wdowiec, mający drobne dzieci, smutny ale bogaty, potrzebowałem na resztę życia towarzyszki i przyjaciółki, i uważałbym się za najszczęśliwszego, gdybym ją był mógł znaleźć w téj, dla któréj po raz pierwszy i jedyny serce moje biło inakszem biciem jak dla reszty ludzi... ale czyż miałem prawo, czyż mogłem mieć śmiałość, przyjść do niéj i powiedzieć: — oto ci przynoszę szczątek siebie samego, ja który niegdyś całego siebie oddać ci się obawiałem, boś była biedną? — któż mnie mógł zapewnić, że nie będę odepchniętym, że ta osoba nie wyrzekła się już na zawsze odmiany stanu, albo téż w sercu swojém nie żywi dla mnie niewygasłéj nienawiści?... Wszystko to powstrzymywało mnie... byłbym milczał... Tymczasem Czesław przyszedł do mnie i nie słowem wprawdzie, ale przykładem swoim, powiedział: Patrz bracie, jestem kaleką, a jednak znajduje się istota, która jest gotowa zostać moją przyjaciółką i towarzyszką... i ty, złamany życiem, jesteś kaleką w moralném znaczeniu, więc i dla ciebie znaleźć się może takie serce i przywiązanie...“

„Niech mnie djabli porwą“, pomyślał Czesław Duś, „jeżeli ja myślałem kiedykolwiek coś podobnego dawać mu do zrozumienia. No... ale kiedy to sobie w taki sposób wytłomaczył, nic mi to nie szkodzi... byle się tylko przez to udał mój interes.“

„Temi słowy, tém przypomnieniem, tym przykładem“, ciągnął dalej Opałowicz, „mój brat Czesław oddał mi bezinteresownie największą jaką w życiu mógł oddać przysługę, bo mnie ośmielił i zachęcił abym zapukał raz jeszcze do serca téj, która mi serce swoje otworzyła za młodu, bo mi wskazał okoliczności, pozwalające wróżyć, że zostanę przyjętym i że postępowanie moje dawne przebaczoném mi i zapomnianém będzie.

Panna Firmska słuchała tego opowiadania z ledwi utaić się dającém wzruszeniem, które jednakże Czesławowi nie zdawało się niepokojącém, uważał je bowiem za rodzaj sentymentalnego współczucia, dla dziejów serdecznych, które jéj Opałowicz opowiadał.

„Więc teraz chcesz pan wrócić do kochanki swojéj młodości?“ zapytała patrząc wzrokiem pełnym uczucia w oczy Opałowicza.

„Tak jest, pani.“

„I jak pan sądzisz, że ona to przyjmie?...“

„Nie wiem... ale nadziei mam wiele...“

„Ja sądzę, że pokutnikom, którzy winy swoje w konfesyonale serca wyznają, serce z łatwością daje rozgrzeszenie, — powinieneś pan zatém zostać przyjętym.“

Oko Opałowicza błysło łagodnym ogniem spokojnego szczęścia.

„A pan jak sądzisz?“ zapytała panna Pelagia z kolei Czesława Dusia...

„Ja pani?... cóż mnie do tego?... ja jestem swojem szczęściem zajęty...“

Panna Pelagia uśmiechnęła się.

„Wstydź się pan, to egoizm... kto umie tak szlachetne rady dawać bratu, ten jest szlachetnym w gruncie... Gdyby ta osoba, o któréj nam mówi pan Józef, zwróciła się do pana z prośbą o radę, jestem pewną, że dałbyś jéj szlachetną.“

„O! bez najmniejszéj wątpliwości, panno Pelagio!“

„Więc cóż byś pan jéj powiedział?...“

„A no... cóżbym miał powiedzieć?... Ja tam w piękne słówka rad poczciwych ubierać nie potrafię... powiedziałbym jéj po prostu: Pani, idź pani za mojego brata, który cię kocha, jeżeliś go kochała i kochasz.“

„A gdyby ta osoba odpowiedziała na to panu, że pragnąc poprawić swoje interesa inaczéj już rozporządziła sobą, wszakże odradzałbyś jéj pan taki handel uczuciami?...“

„Ależ niezawodnie... z całém oburzeniem, panno Pelagio... powiedziałbym jéj, że... no, tak samo jak wprzód mówiłem... poprostu... bez ogródki, jak to ja mawiać zwykłém: Porzuć to pani, bo to nieszlachetne, a byłaby... byłaby... widzi pani...“

Czesław Duś niewiadomo czemu zaczął się jąkać, jakiś nagły niepokój nim owładnął i ubrał mu język w pantofle.

„No... no... daléj, nie ustawaj w półdrogi...“ zachęcił go Opałowicz.

„Kończ pan śmiało“, ośmieliła go również panna Pelagia, „nie godzi się żenować poczciwéj, szlachetnéj rady.“

Cofać się było niepodobna.

„Ha! zabrnęło się... trzeba brnąć, chociaż kto wie co z tego będzie!“ rzekł sobie w duchu Czesław.

I prawił dalej nie bardzo sensownie, ale nie wychodząc z przyjętéj roli:

„Tak, tak, panno Pelagio... właśnie to bym powiedział téj osobie: idź pani za mego brata... postąp szlachetnie, bo byłoby nieszlachetném... gdybyś się dopuściła nieszlachetności...“

„A więc dobrze panie Czesławie... zastosuję się do pańskiéj rady“, odpowiedziała na to panna Firmska.

„Jakto?... więc to?...“ zająkał się znów Czesław, czując że mu włosy wstają na głowie, „więc pani pójdziesz za mnie?...“

„Nie, panie... za pańskiego brata, bo w jego opowiadaniu o mnie była mowa... a pan sam powiedziałeś, że mi szlachetność tak nakazuje postąpić.“

Na długą chwilę Czesław Duś stracił zdolność do używania wszystkich współgłosek i samogłosek oprócz jednéj tylko:

„A!...“

Pozostawiamy gramatykom poznańskim zbadanie i wykrycie, czy to „a“ było pochylone czy nie, co do nas wiemy tylko, że wymawiając je sam nasz bohater się pochylił, jakby się łamał pod ciężarem spadającego nań nieszczęścia.

Kamienica po Kahlbergerze i magazyn przynoszący trzy tysiące talarów dochodu, najpiękniejsze nadzieje i całe rusztowanie projektów, zbudowanych na tych nadziejach, wszystko to razem rozbiło się o przeklęty wynalazek... o szlachetność!...

W parę tygodni potém panna Pelagia została panią Opałowiczową. Czesław nie był na ślubie, bo od czasu owéj rozmowy pozostawał w kuracyi, nie dla tego, żeby był chory, lecz że sobie sprowadził doktora i wymógł na nim zapisywanie najrozmaitszych prezerwatywnych środków, żeby przypadkiem nie zachorował.

W miesiąc po ślubie dopiero bohater nasz spotkał się z bratem, który, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, zaczął z nim potoczną rozmowę.

Tak zaczepiony Czesław nie mógł się wstrzymać od wyrzutu:

„Wiesz Józefie“, rzekł, „że nie spodziewałem się tego po tobie... tak mnie podszedłeś nieszlachetnie...“

„Odpłaciłem ci tylko pięknem za nadobne braciszku... niech to będzie dla ciebie nauką, że tak postępując z ludźmi, jak masz zwyczaj postępować, nieraz się na taki odwet narazisz...“

„To się narażę... co tobie do tego... obejdę się bez twoich uwag!“ odpowiedział Czesław bratu, i nie podawszy mu ręki wrócił do domu.

Powracając nadłożył drogi i obszedł kilka ulic, ażeby wrócić od przeciwnéj strony.

Czynił tak zawsze i czyni jeszcze dzisiaj, ilekroć mu wypadnie przechodzić koło kamienicy, która mu się tak fatalnie z rąk już prawie wyśliznęła.

(Koniec.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Wycieczka do świata nieskończenie małego.

Przed kilkoma miesiącami daliśmy czytelnikom Sobótki obraz życia tajemniczéj istoty w naturze rośliny. Weźmy teraz inny dział z życia naszego planety, dział nieco wyżéj na drabinie organicznéj położony i przez swój obszar i bogactwo, być może cudowniejszy. Chodzi nam teraz o świat nad którym niedość się zastanawiano, a którego odkryte tajemnice są niewyczerpanem źródłem podziwu i rozkoszy. Ach! jakże życie człowieka w obec pełnych interesu studyów, z których punkt każdy ściśle rozebrany staje się światem całym, jest krótkie!

Człowiek, żyjąc życiem ephemerycznem na powierzchni globu ziemskiego, widzi się jakby zgubionym w pośród nieskończonéj wielkości, która go otacza: — w pośród wielkości istot nieskończenie małych i cudów niewypowiedzianych świata niewidzialnego; wpośród ogromu nieskończenie wielkiego i układu wszechświata, w obec którego ziemia nasza jest tylko atomem. Imaginacya zdumiewa się zarówno światem nieskończenie wielkim jak nieskończenie małym.

Bądź wzrok nasz wzbijając się w górę rozbiera mechanizm niebieski, bądź zniżając się na dół spogląda na najdrobniejsze istoty, wszędzie uderza go wielkość fenomenu stworzenia. Ogrom wszędzie! Widzisz go na kopule lazurowéj, gdzie miliardy gwiazd świeci i na atomie żyjącym, który u nóg twoich pełza.

Ktokolwiek wpatruje się w ten widok oczyma duszy, czuje w porównaniu wszechświata nicość człowieka. Lecz, jeżeli z jednéj strony prawdą jest, że uczucie pokory w obec nieskończoności przestrzeni i wieczności w czasie, człowiekiem owładnie, jeżeli prawdą jest, że każdy krok w życiu, każda zmarszczka orząca czoło, odkrywa jego słabość; to niemniéj jest prawdą, że jego geniusz, owe tchnienie boskie, ukazując swoją potęgę i pochodzenie najwyższe, podtrzymuje w pielgrzymce.

Z pomiędzy tysiąca przedmiotów nastręczających się w naturze, bierzemy dzisiaj jedną część świata mało jeszcze znanego. skromną i ukrytą sferę, w któréj bez świadomości naszéj rozwija się potężna siła żywotna i spełnia się przeznaczenie. Idźmy więc do tego świata mikroskopicznego, który żyje we wszystkich częściach wody, w powietrzu, w roślinach, w ciałach nieżyjących i od którego człowiek nawet nie jest wolny.

Rolniczy tygodnik Wielkopolski, Ziemianin, dotknął w Nr. 31 téj kwestyi, ale dotknął jéj z jednéj tylko strony. My postaramy się w szerszym zakresie, czytelników z tym światem zapoznać.

Rozjaśniające studya istot mikroskopicznych winniśmy pruskiemu naturaliście Ehrenbergowi; on to zdobył się na zadziwiającą cierpliwość badania przy pomocy mikroskopu tych istot niewidzialnych, on to odkrył ich zwyczaje, podzielił na klasy, familie i rodzaje; on to wykazał pierwszy, że te istoty pomimo swéj małości, mają organizacyę wewnętrzną, która niekiedy przedstawia zadziwiającą kompli-

kacyą; jemu to jednym słowem winniśmy naukę o wymoczkach.

Formy istot mikroskopicznych są równie jak u większych zwierząt skończone; wyjątkowo tylko, niektóre zmieniają się dowolnie i pod okiem zdziwionym badacza sto różnych pozorów przybierają; w ciągu pięciu minut nie rozpoznanoby ich nigdy. W pewnéj danéj chwili są one okrągłe lub trójkątne, krótko potém nabierają powierzchowności gwiazdki świecącéj. Dla tego istotom tym nadano miano „proteusza", który cudownemi swemi zmianami, umiał uniknąć wzroku wszystkich. Świat mikroskopiczny ma swoje ostateczności. Pomiędzy najmniejszemi i największemi jego reprezentantami jest taka różnica, jak między chrząszczem i słoniem.

Nic niema cudowniejszego nad organizm tych istot niewidzialnych i jeżeliby sumienne studya niepotwierdzały, chciałoby się wierzyć, że opowiadania naturalistów są fikcyjnemi, lub śmiałemi kłamstwami.

Bogactwo u nich organów żywotnych wyższem jest niekiedy od organów wielkich zwierząt i nawet od organów samego człowieka. Są między niemi posiadające sto dwadzieścia żołądków, a u pewnych gatunków liczą nawet więcéj. Nadto u niektórych wymoczków z tym bogactwem organów, łączy się ciekawy mechanizm; jeden z tych żołądków obdarzony jest zębami cudownéj delikatności i skoro to żyjątko pokarm przyjęło, widzieć można przez ciało przezroczyste poruszanie się go i żucie. U pewnego gatunku system cyrkulacyjny jest względnie do wielkości tak obszerny, że bez przesady twierdzić można, iż te drobne istoty mają stósunkowo serce pięćdziesiąt razy większe od wołu lub konia.

Pomimo, że istoty te drobne przez całe wieki znane niebyły, niemniéj jednak natura otaczała je najżywszą troskliwością. Niektóre mają ciała osłonięte pancerzem wapiennym, a są i takie których skorupa w rodzaju krzemienia, jest nienaruszalna.

Według Ehrenberga, pewne wymoczki mają oczy ze zrenicami wydającemi różowy płomień. Jeżelibyśmy więc mogli przypuścić, że subtelne ich organa posiadają możność objęcia wzrokiem takiéj przestrzeni, iżby nas z instrumentami obserwacyjnemi widzieć mogły, jakiegoż okropnego wrażenia doznaćby musiały widząc się w naszych rękach?

Jeżeli organizacya tych istot żyjących przechodzi nasze przypuszczenia, ich ciągła czynność niemniéj jest zadziwiająca. Wszystkie zwierzęta muszą snem wynagradzać wydatek sił przy czuwaniu i my nawet niestety! przepędzamy jedną trzecią część życia, w przedwczesnym śnie śmierci. Wymoczkom wszystko to jest obce; życie ich jest emblematem ciągłego ruchu. Ehrenberg obserwując we wszystkich godzinach nocy, widział je zawsze w ruchu i przyszedł do przekonania, że one nigdy nie mają spokoju i nigdy nie śpią! Roślina nawet z końcem dnia usypia; a te istotki niewidzialne, jeżeli śpią, to chyba tylko sekund kilka, i jeżeli u nich jak u nas, sen jest przeplatany marzeniami dziwnemi, to z pewnością marzenia te nie są długie.

W miarę rozwoju nauki, horyzont życia się rozszerzył i pełen ożywienia świat drobny, na każdem miejscu gdzie badawcze oko ludzkie się zagłębiło, odkrył się przed nami; lody podbiegunowe, regiony wyższe atmosfery i ciemne głębinie Oceanu są przepełnione organizmami żyjącemi, i wszędzie ich cudowne życie i nieskończona rozmaitość w zachwyt nas wprawia.

Najniższe te stworzenia pomimo ich subtelności uchodzącéj naszemu wzrokowi, posiadają jednakże więcéj siły żywotnéj, niż istoty najsilniejsze! Tam gdzie ostrość klimatu zabija najwytrwalsze rośliny, tam gdzie zaledwie wyjątkowe zwierzęta są wstanie egzystować, drobne i delikatne organizmy tych istotek nieulegają żadnym wpływom. Więcéj niż pięćdziesiąt gatunków wymoczków z wapienną skorupką, znaleziono pod 78° szerokości geograficznéj, na lodzie pływającym po morzach biegunowych.

W tych regionach, głębinie morza więcéj są niż jego powierzchownia ożywione. Sonda zapuszczona do głębokości 500 metrów, przyniosła na powierzchnię 70 różnych gatunków wymoczków. Odkryto nawet na 12,000 stóp głębokości, tam gdzie ciśnienie równa się 375 atmosferom, że istotki te wytrzymują ciśnienie to nadzwyczajne. Te atomy żyjące, mnożące się w najprzezroczystszych regionach oceanu, zapełniają równie wody rzek i stawów naszych; my nie postrzegając przy napoju pochłaniamy codziennie ich mirjady.

Jeżelibyśmy uzbroiwszy oko mikroskopem, chcieli rozebrać co zawiera w sobie kropla wody, prawdopodobnie usta nigdyby się dla pochłonięcia podobnego świata otworzyć niechciały.

Wszyscy, którzy podczas nocy kołysali się w łódce na falach morskich, lub téż przerzynali wartkie rzeki, znają prawdopodobnie fenomen fosforescencyi (własność pewnych ciał świecenia w ciemności), która od tak dawna budziła ciekawość uczonych. Przypisywano niegdyś temu fenomenowi najrozmaitsze przyczyny — dziś jest wiadomem, że ona leży w mnóstwie nagromadzonych żyjątek. Najczęściéj powtarza się zjawisko to w miejscach, gdzie morze jest w poruszeniu; każdy bałwan pozostawia na przodzie okrętu pianę świecącą, a fale mają pozór nieba gwiazdzistego. Mirjady te punktów świecących, owe gwiazdki morskie, są to wymoczki nieskończenie małe i w skutek błyszczenia, pozornie powiększają się w oczach widza.

Woda nie jest jedynem pomieszkaniem tych istót małych; spotykają się one i w ziemi, a potęga ich tam przechodzi wszelkie przypuszczenia. Pewne gatunki, których wielkość nieprzewyższa setnéj części milimetra, tworzą pod powierzchnią w miejscach wilgotnych, rzeczywisty pokład żyjący i mający niekiedy kilka łokci grubości.

W północnéj Ameryce odkryto pokład podobny, mający dwadzieścia stóp głębokości, a są i takie, które czterdziestu dochodzą. Berlin jest zbudowanym na jednym z takich pokładów. Istoty te mikroskopiczne o których mowa, są takiéj subtelności, że na rozciągłości jednego cala, można byłoby 10,000 pomieścić, a waga każdego z nich odpowiada zaledwie milionowéj części milograma. Wyliczono bowiem że na gram jeden trzeba 1,111,500,000.

Co do szkieletów, całe pokłady ziemi składają się z ich mirjadów nagromadzonych! I my sami nawet nieprzypuszczamy na szczęście, że niewidoczne mirjady tych żyjątek

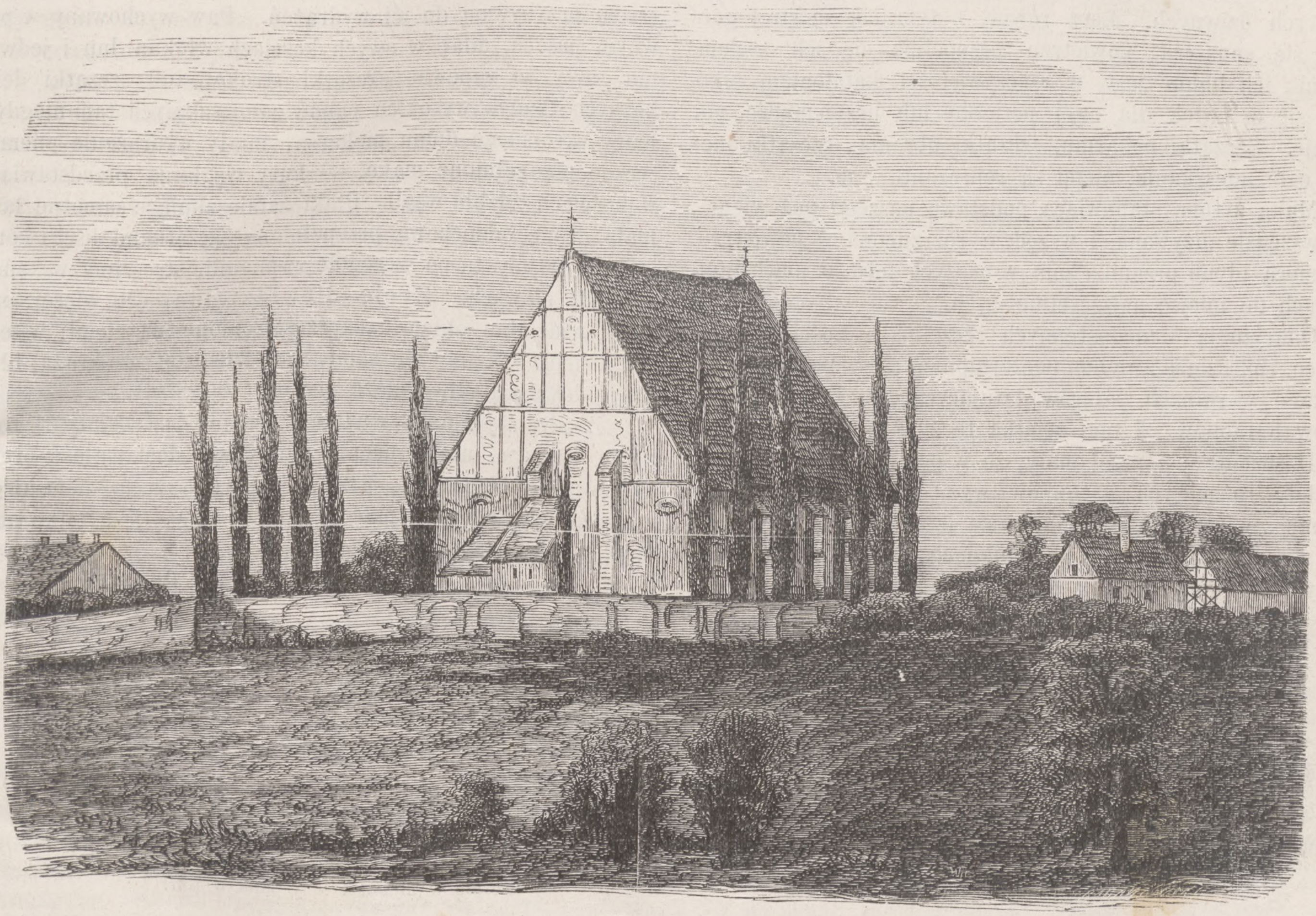
pożerają bezustanie nasze tkanki tak że czasem człowiek upada pod ich przemocą. Badania wciąż odkrywają w trzewach masy wibrionów niedostrzeżonych. Usta nasze są zamieszkałe przez nie — a kamień winny formujący się na zaniedbanych zębach przedstawia kośnicę mikroskopiczną.

Robaczki trzewiowe, których wielkość dochodzi główki od szpilki, gromadząc się w głowie skopa, spowodowują śmierć fatalną. One to są przyczyną téj choroby, którą po naszych wioskach nazywają kołowrotem lub téż durem, ponieważ zwierzęta nią dotknięte w kółko się kręcą. Niezliczone legiony innych robaczków jeszcze mniejszych od poprzednich napełniają wszystkie nasze organa mięsiste.

widocznéj. Deszcze krwawe, woda przybierająca w pewnych okolicznościach kolor różowy, jak n. p. morze czerwone pochodzą z porostów wodnych, czyli z owych istot mikroskopicznych. Barwa różowa śniegu, którą już starożytni naturaliści zauważali, leży równie w tych żyjątkach. Żyją one bez obawy na lodowatych szczytach gór i w pustych regionach podzwrotnikowych.

Powietrze nawet jest niemi zaludnione. Na wzór panteizmu starożytnego, żyjątka drobne rozsiewają życie po ziemi całéj, w każdym atomie i nawet w istotach żyjących.

Niewidoczna populacya powietrzna, według Humboldta, stanowi oddzielną klasę. Prócz wymoczków meteorycznych,



Kościół Św. Wojciecha w Poznaniu.

Zwierzątka te mnożą się niekiedy tak dalece, że w jednym muskule wewnątrz ucha naliczono 25. Wielkość ich równa się ziarnku prosa. Małe te parasity zowią się trychiną, ulubionem ich pomieszkaniem są wieprze.

Wszystko co żyje jest toczone przez niewidzialne te istoty i żadna siła ludzka dziełu ich tamy położyć nie jest w stanie.

Tak więc mieszkaniem istotek maluczkich jest nieskończoność.

Dorzućmy jeszcze uwag kilka.

Pewne meteorologiczne fenomena, które niegdyś przestraszały nieświadome tłumy, mają źródło w téj armii nie-

których istnienie nie ulega zdaje się wątpliwości, atmosfera mieści w sobie niezliczoną ich ilość porwanych i rozrzuconych prądami po całym globie. Niekiedy powietrze tak niemi jest przepełnione, że słońce zasłaniają i duszą podróżnego. Ehrenberg znajdując się o 380 mil od brzegów Afryki, zrobił analizę pyłu otaczającego statek i odkrył ośmnaście różnych gatunków wymoczków ze skorupą wapienną.

Lecz nietylko woda, powietrze i ziemia napełnione są życiem mikroskopicznem; znajdujemy je pełne potęgi i ożywienia wewnątrz zwierząt i roślin; żaden przyrząd ciała żyjącego nie jest wolny od niego. Spotyka się je nietylko

we wklęsłościach będących na zewnątrz, ale nawet w organach zamkniętych. Nasze arterye i żyły, jakkolwiek hermetycznie ze wszystkich stron zamkniętę, równie nie są od nich wolne. Łączą się one z kulkami krwistemi, zdają się żyć chętnie wpośród ciągłego niepokoju cyrkulacyi. Przebieganie ich wspólne ze strumieniem krwi, jest dla tak delikatnych natur tém, czém dla nas przebycie wodospadu.

Powietrze, nie tylko jest zaludnione temi istotami, ale co więcéj milionami ciał, szczątkami tych które się na powierzchni ziemi znajdowały i które poruszenia wiatru uniosły w powietrze. Każdy z nas mógł zauważyć, ile ich promienie słońca, przedzierające się do ciemnego pokoju, uwydatniają naszym oczom. Na szerokiem morzu, na górach, w balonie przedewszystkiem powietrze jest wolniejsze od ciał tych dziwnych. Lecz równo z tym jak ze stref górnych się spuszcza, powietrze przepełnia się ich życiem. Słownik ich imion jest w rzeczywistości katalogiem tego, czém się człowiek dla swéj potrzeby lub przyjemności posługuje. Szczątki pokarmu, szczątki ubrania, szczątki mebli i całe mieszkanie, niemi są reprezentowane.

Mąka żytnia, stanowiąca podstawę naszego pożywienia, jest wszędzie używana, i wszędzie rozrzucona w powietrzu. Zapomocą płynu przenika ona w naszych mieszkaniach i pomnikach do miejsc najszczelniejszych.

Odkryto ją w niedostępnych szczelinach kościołów gotyckich, zmięszaną z pyłem poczernionym sześcioma wiekami; spotkano w ruinach pałaców datujących się, być może, od czasów Faraonów. I tam żyjątka te żyją i odradzają się.

Doświadczenia przekonały, że w powietrzu znajdują się szkielety rozmaitych gatunków wymoczków; lecz co jest dziwniejsze, że w nich znajdują się inne żyjące. Widziano je w szczątkach owadów, we włóknach lnu, jedwabiu i bawełny, farbowanych w najrozmaitszych kolorach. Jak statek napełniony najrozmaitszym towarem, tak atomy powietrza na swych skrzydłach niosą światek cały.

Wszystkie te żyjątka przenikają do naszych organów oddechowych. Płuca zatrzymują w sobie pewną ilość osadu.

Pewien naturalista odkrył na człowieku umarłym żyjące skorupiaki mikroskopiczne.

W czasach naszych przechadzek po mieście połykamy, nie wiedząc o tém, legiony żyjątek, wydzielających się z kamieni służących do budowy, z których ręka robotnika je oswobodziła.

Kość ptaka, w miejsce szpiku, jest zupełnie podziurawiona i zapomocą dziwnego mechanizmu, komunikuje się ona z płucami i służy do oddychania, kość ta pneumatyczna jest także mieszkaniem drobnych istotek, które z powietrzem przybywają do jéj wydrążeń. Paw wychowany w pewnym pałacu, miał w swych kościach włókna lnu i jedwabiu, były to zapewne szczątki strojów lub szczątki delikatnych tkanek wysokich panów zamieszkałych tam niegdyś. Kury skromnego domu piekarza, miały wydrążenie pnematyczne przepełnione mąką, — kury węglarza przedstawiały w kościach źdźbła węgli. Ptaki zamieszkujące samotne lasy mają drogę oddechową przepełnioną szczątkami liści i kory.

To cośmy tu po szczególe wymienili, streścimy w końcu w kilku słowach. Życie niewidzialne jest więcéj, niż życie widzialne okiem, rozprzestrzenione na ziemi; w tenczas kiedy widzimy się sami, wszędzie istoty te krążą, błądzą, oddychają i być może marzą.

Zgodzi się z nami czytelnik, że nie jest najniższą roskoszą umysłu, umieć ocenić nieopisaną doskonałość organizmów niewidocznych, poznać bogactwo życia ziemskiego i opuszczając ziemię uznać, że ten planeta jest tylko atomem w porównaniu wszechświata.

Dr. C. F.

MORZE.

Morze przedemną. Słońce strudzone
Na wód posłanie składa swą skroń.
I ciemno wkoło. . Fale spienione
Jedna za drugą spływają w toń...

O! jakże smutne to życie fali!
Rodzi się — rośnie — i ginie już —
Wlewa się w drugą, co płynie daléj...
Takie to fatum ludzi i mórz!

Nikt jéj nie schwyci w biegu — na szczycie —
Nikt nie rozumie dokąd jéj bieg!
Taka to młodość — starość i życie —
Tak było — będzie — od wieku w wiek...

Fala — to człowiek — to naród!... Nagle
Powstaje — huczy — podnosi skroń —
Pieni się — zrywa stuletnie żagle —
Rośnie w niebiosa — i pada w toń!

I tylko czasem o brzeg się złamie —
Złoży nań zwiędły porwany kwiat...
Ten kwiat — to dzieje — to święte znamie
Przeżytych cierpień, myśli i lat...

Tak naród składa na dziejów łoże
Owoc swéj pracy — gwiazdę swych dróg...
Fala za falą ginie — lecz morze
Żyje!... I Ludzkość wieczna jak Bóg.

Narodzie! Zostaw klejnot po sobie,
Aby cię wieki pamiętał świat!
Gdy umrzeć musisz — zostaw na grobie
Godło żywota — Wolności kwiat!

Boulogne Sur Mer, 16 Czerwca 1866.

Henryk Merzbach.

PRZYCZYNKI DO WSPOMNIEŃ EWUNI

czyli

ADAM MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.*)

Są to dwa listy Zygmunta Krasińskiego, jeden pisany do matki Ewuni, znanéj już czytelnikom naszym, drugi do niéj saméj.

Oto list pisany z Rzymu do hrabiny w r. 1837.

„Byłem sam u księdza Kozackiewicza, i oddałem szkuda, i msza przed obrazem u Augustyanów odmówioną jest. Księżna Czar....... mówiła, że będzie do pani pisać, a że nie pisała to pochodzi z bólu w ręce, ale że zawsze najszczerszą jest przyjaciółką.“

„Cóż mam więcéj donieść pani? nikogo nie znam, nikogo nie widuję; na wieczory, na bale nie chodzę. Oczy mnie mocno bolą, często nic nie robię, wkrótce przestanę myśleć, ale co wiem, to że codzień żałuję, że pani ztąd wyjechała, i kiedy ten długi wieczór nadchodzi, który ja zwykle przeleżeć muszę na kanapie, klnę złym losom, że panią z Rzymu uniosły. Do Neapolu dopiero w Lutym pojadę. Za kwiatki tysiąc dzięków. Pan Józef Kr...... odda pani Les pelerins i Agay-Hana sprokuruje.“

„A teraz cóż daléj. Prawdziwie nic nie umiem powiedzieć, a frazesów nie chcę gadać bez myśli. Żeby tam pani donieśli kiedy żem mnichem został, tak jak Bratti co się Benedyktynem zrobił przed tygodniem. Ja i Abbate Bratti, jedném oba porwani przeznaczeniem! A co? Albo żeby donieśli, żem zwaryował, i toby był bardzo ozdobny koniec mojego znakomitego zawodu. Tymczasem świat się bawi w starym Rzymie, tańczą Angielki, kochają się Francuzi, bileciki latają tu i owdzie z przysięgami, obietnicami, zazdrościami etc. etc. Stary Aigner nawet ma co robić, pisze arcyważne dzieło: O kapitelach kolumn uważanych w ich wpływie na politykę XIX wieku. Hr. Dunin jeździ i wizyty oddaje. Wie zapewne pani, że Ogiński umarł we Florencyi.

„Teraz o to tylko proszę panią, byś zawsze równém okiem patrzała na mnie i była pewną, że ja nigdy nie zmienię się w uczuciach, które mam względem niéj i domu jéj. Pannie H. (Ewuni) moje uszanowanie składam z prośbą, by rozważyła ten frazes, próżnia grobowa w duszy. W tych dwóch słowach mieści się los wielu ludzi na świecie. Przypominam się także panu hrabiemu. Danielewicz dziękuje za pamięć z najszczerszą wdzięcznością, a ja proszę pamiętać nadal o niżéj podpisanym

zawsze przywiązanym

Zyg. K.

1837, Rzym 10 Decembra.

P. S. Życzę z serca Nowego Roku, dobrego. Temu trzy lata u pani wilią jadłem.

Oto list do Ewuni.

Monachium, 22 Marca 1842

Niech się pani nie dziwi tym potwornym głoskom. Tak się pisze, gdy się 19 Lutego, w sam dzień i chwilę urodzin (niestety 30 raz powtórzonych) miało dwa rzuty apoplektyczne krwi do mózgu. Głowa leżała w grobie — i to na długo. Krwi puszczenie znów światło blade rzuciło w te ciemności — ale dotąd ręka tak pisać musi i każde pisanie męką — w téj chwili jednak miłą i uprzejmą! Lecz nie na tém koniec, pani! Jeżeliś smutkami obwiązana, dowiedz się i o moich. Konstanty (Danielewicz) od 15 Lutego jak zapadł na tyfus, tak coraz gorzéj i gorzéj słabł, aż wreszcie temu tydzień zaczął konać bez najmniéjszéj nadziei już — i widziałem jak oléj ostatniego namaszczenia, spoczął na tych kochanych powiekach, na tém pełném myśli zawsze wzniosłych czole — klęczałem i płakałem tam — noc to najnocniejsza z życia mego, na kształt Letniéj owéj Słowackiego. Więc dostałem znowu gromem i w pierś i w mózg. Jednak miłosierdzie Boga przeciągnęło jego życie prawie aż za granice życia. Dotąd nie odszedł w strony nieznane — i nawet lepiéj jest i żyć będzie jeszcze! Ale te wszystkie wzruszenia i niewczasy umysłu, serca, uczucia, przegięły mnie — widzi pani jak piszę! Tyle o mnie — i o nim. Myślę że i tych szczegółów opis nie był nudą pani i że w staréj przyjaźni podzielisz mój smutek, jako ja dzielę jéj niedolę.

Lecz nie trwóż się pani o matkę. Matka wyzdrowieje byleby włoskie słońce błysnęło nad jéj czołem. Każ pani zaprządz — i wyjedź z Krakowa i przebądź Alpy — a gdy ujrzy pani A.... zdaleka kopułę Piotra, wnet będzie jéj błogo i dobrze. Wierz, wierz mi pani — duszy jéj trzeba pomagać umysłowemi leki — rozrywać myśl jéj zsmętniałą — nie tyle ciało u niéj co serce chore — a nic serca nie leczy na ziemi, jedno zieloność — jedno błękit — jedno słońce południowe!

Teraz, racz pozwolić pani bym nasrożył się w wyrzuty. Odkądże to szlachcicowi polskiemu za morzem bawiącemu, odsyła Polka z Polski pieniądze za czekoladę? gdzież ten obyczaj wyczytan w staroświeckich księgach? kto kiedy słyszał w naszéj Koronie o czém podobném? Zaprawdę, niemiecka to pilność, porządek, filozofia — ale nie ufność polska — nie dobre serce polskie — nie staréj przyjaźni znak. Owóż sercu szlacheckiemu za morzem bawiącemu, markotno się stało, bo nie zasłużyło na takową odsyłkę. Wreszcie sumiennie nie może na nią przystać, bo wtedyby panią po prostu okradało. Proszę o posłuchania chwilkę — rzecz albowiem tak się ma:

Gdy mi matka pani kazała, udałem się zaraz do Mayerhofera, wchodzę — patrzę — sam król jegomość stoi

*) Po ukazaniu się „Wspomnień Ewuni“, przesłano Bibliotece W. kilka listów i szczegółów uzupełniających „Wspomnień.“ Są to dwa listy, Zygmunta Krasińskiego i A. E. Odyńca, prostujące małe zboczenia i potwierdzający wiarogodność faktów. Dla wypełnienia obrazu drukowanego w Sobótce p. t. „Adam Mickiewicz we Włoszech“, podajemy te przyczynki według Biblioteki W. w nadziei, że drogie zabytki literatury krajowéj z chciwością przez publiczność czytane będą.

w sklepie. Zdziwiłem się — ale myślę; — blizko z pałacu — wszedł jeść czekoladę — stoję więc z wszelkim respektem — nie mówię nic — czekam. Król patrzy na mnie — potém się pyta po niemiecku czegobym ja chciał. Odpowiadam Ihre majestaet. On jeszcze dziwniéj spojrzał i znów to samo zadaje pytanie — ja znów występuję z tytułem.

Wiesz pani, że tutejszy król tak znakomite ma rysy, że go łatwo wszędzie poznać. Wreszcie najjaśniejszy pan zbliża się do mnie i mówi mi: „Ich bin nich der König, bloss der Hof-Chocoladermejster seiner majestaet“ i ukłonił mi się nizko. Z podziwum mało nie padł — podobieństwa tak rażącego nigdym nie był widział — więc mówię mu, że on do króla podobniusieńki — a mój Mayerhofer coraz niżéj mi się kłania — dziękuje — wreszcie z wdzięczności za taki honor zalewa się łzami — i gdy spytałem o cenę czekolady, nie chciał, i nie chciał, i nie chciał ani feniga wziąść. Com się jego naprosił! nic nie pomogło. Posłał do Krakowa paczkę — i potém prosił — on zawsze odpierał: „pan mi taki honor wyrządziłeś, że całe życie będę pamiętał i tém zaszczytném spostrzeżeniem podobieństwa mojéj figury do królewskiéj, aż za nadto mi tę marną czekoladę zapłaciłeś.“ I na tém się skończyło, że pani nic a nic mi nie winna, a sercu tém ulżył.

Droga pani, za dawno się znamy, byśmy się w takie ceremonie wdawali. Bądźmy Polakami. Gdy mnie przyjdzie zachcieć kaszy naprzykład z Krakowa, napiszę do pani, a pani mi przyślesz — albo pierożków takich jak w Rzymie, zamkniętych podług metody Ampera!

Uszanowania i życzenia najszczersze, najgorętsze składam pani A.... proszę by Zdrowaś Marya zmówiła za Konstantego i za mnie. Jeszcze się wszyscy obaczym — będziemy razem — w Romie, w Partenopie — tam gdzie the cypress and myrtle!

Dłużéj utrzymać pióra w ręku nie zdołam. Dzięki pani za pamięć i za list ten, który mi się wydał głosem przyjaźni, z daleka wołającéj na mnie, właśnie gdy chwila ciężkiego smutku mnie obarczyła. Wiesz pani, że umiałem zawsze i umiem na zawsze wdzięcznym jéj być i matce jéj, za łaskawą na mnie od lat tylu dobroć.

Zyg. K.

LISTY Z SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszy to raz od trzech lat spałem podług mego upodobania na dworze, na wolnym powietrzu; pierwszy raz od trzech lat widziałem gwiazdy nad sobą, czułem rosę na trawce i rano widziałem wschodzące słońce, podnoszące się z fal zielonego morza, które przed nami się rozciągało. Nigdy mi słońce nie wydawało się tak pięknem, czystém, dziewiczém. Gdyby mi w téj chwili najuczeńszy człowiek był powiedział, że na tém słońcu są plamy, — jabym nie był chciał wierzyć, żeby to słońce, o blasku zielonawym australskiego złota, mogło mieć choć najmniejszą plamkę. To był przedsmak swobody, po długiéj niewoli!

Odtąd już aż do Ustkutty byliśmy swobodni; nieraz w czasie podróży, kiedy nas jednostajność znudziła, wysiadaliśmy z łódki, idąc kawał drogi po nad brzegiem Leny, gdzie prostopadłe ściany z glinianego łupka, który wciąż brzegom Leny towarzyszy, na to pozwoliły.

W ogóle jest łupek gliniasty główną formacyą nad Leną. Nie daleko jednak od brzegu téj rzeki, a może tylko kilka wiorst od niéj, jest szary i czerwony piaskowiec, z którego mieszkańcy okolicy wyrabiają młyńskie kamienie, toczydła i osełki do ostrzenia noży, kos i toporów, a które nawet do okolicy Irkutska i do tegoż miasta wożą.

Wsie nad Leną wielkie mają podobieństwo do wsi Litwy. Rzadko tylko sterczy komin nad dachem, a gdzie on, i gdzie jeszcze są szklanne szyby w oknach — to „bogaty chaziain“, zamożny gospodarz. Reszta domów to — „kurne chaty“ litewskie, w których dym z pieca wali się na izbę, a dziurą w ścianie nad piecem uchodzi.

Okna zaś są zeszyte z miki — świecącego się jak srebro minerału znajdującego się we większych plasterkach w gnejsie, a w bardzo drobnych i w granicie, — a która się w ogromnych bryłach przywozi z gór Olekmińskiego systematu lub z Jakutska. Cena szyb takich zależy od kwadratowéj objętości bryły; im większa objętość, tém rozumie się przy równéj z innemi bryłami wadze, droższy kawał. W biednych domach można widzieć szyby zeszyte z kawałków wielkości połowy papierowego talara.

Rozumie się, że przez takie szyby ani z izby na dwór, ani ze dworu do izby patrzeć nie można, choć dostatecznie światła przepuszczają. Szklanna szyba zwyczajnéj wielkości w tych okolicach, gdzie drzewo nic a nic nie kosztuje, kosztuje od trzech do czterech złotych na nasze pieniądze, i to jeszcze nie w każdym czasie dostać ją można. Kto chce, musi się w ten luksusowy materyał opatrzyć w czasie „pawozek“, o których wyżéj wspomniałem.

Wsie nad Leną zawsze leżą w pięknych równinach, gdzie skalisty brzeg nieco od rzeki odstępuje. Łąki są na wyspach, ogrody przy wsiach, a uprawą zboża tu jeszcze lud nie bardzo się zajmuje. Zaledwie tyle produkuje, ile na własne starczy potrzeby.

W czasie dniówek robiliśmy nie dalekie do tajgi wycieczki, bo dalekie są niebezpieczne; niedźwiedź dobrowolnie nie ustąpi swojego dziedzictwa, a żeby go gwałtem wyprzeć z niego, na to jeszcze zbyt mało ludności nad Leną. My zaś wcale nie czuliśmy w sobie powołania być pionerami zachodniéj cywilizacyi w tych stronach i rozpoczynać jéj szczepienie od wojny z niedźwiedziami.

Mnie szczególniéj chodziło o poznanie kraju, o znajomość z jego florą, z jego geologicznemi stósunkami, o poznanie jego naturalnych skarbów, bo bogactwem tego wszystkiego co Syberya posiada, tak mało nazwać można, jak to co się kryje w skrzyniach skąpca, w haremach seraju lub

w murach klasztoru. Skarb — to rzecz martwa; bogactwo — to rzecz ożywiona i ożywiająca, rzecz zdobyta pracą i wspierająca pracę. Syberya ma niesłychane skarby — nie ma wcale bogactwa.

Ileż to razy w czasie takich wycieczek spotkałem się z pysznemi rododendronami, z ligustrem, maliną lub z koroną cesarską, z rezedą farbierską i ziemnym migdałem, które w owych osławionych okolicach — dziko rosną! Oh! Syberya jest od natury stworzona na siedlisko dla ludzi wolnych, szczęśliwych, zajętych pracą i cieszących się ze swego bytu. Wola carów, którym ją oddał moskiewski Pizarko — rozbójnik Jermak — zrobiła z tego kraju który śmiało osobną częścią świata nazwać można, niesłychanie wielkie więzienie, w którém od kilku wieków ludzie marnieją fizycznie i intelektualnie.

Wsie im daléj ku północy, tém mniejsze i rzadsze, ale i uboższe. Tu można niejako dotykalnie się przekonać, jak n. p. „bogactwo“ jest rzeczą nader względną. Kiedy bowiem w tomskiéj, krasnojarskiéj a nawet w zachodniéj części irkutskiéj gubernii słyszałem o chłopach, mających po trzydzieści lub czterdzieści tysięcy rubli, których tylko nazwano „zażytocznymi“ t. j. dobrze się mającemi ludźmi, wiorst 300—500 ku północno-wschodowi od Irkutska nazywają „bogat“ człowieka mającego 2—4 tysięcy rubli. U takiego gospodarza jest już murowany komin i są szklanne szyby w oknach, i on by nie oddał swéj córki nawet za — czestnego Polaka posieleńca.

Wszakże niechaj Czytelnik nie sądzi, żeby taki bogacz nam nie dawał córki swéj za żonę z obawy o posag. W całéj Syberyi nie ma posagu. Rosyanie tu przyjęli zwyczaj mongołów, którzy kupują żony, płacąc za nie „Kałym“, stósowny do położenia rodziców i przyszłego małżonka.

Już widzę uśmiech na twarzy pięknych Czytelniczek, które się cieszą, że przecież gdzieś w świecie, a to jeszcze u wpół dzikiego plemienia, kobieta jest w cenie, że się kupuje. Zawczesny to uśmiech, zawczesna radość! My co bierzemy od naszych pięknych towarzyszek kałym, bierzemy sobie panią, bo my się stajemy jéj niewolnikiem, a tam odwrotnie mężczyzna kupił sobie niewolnicę. Ztąd zdaje się, że łaskawe Czytelniczki w przyszłości wolą — jak dotąd — płacić swym wielbicielom kałym, niżeli żeby oni go płacili rodzicom za — niewolnicę.

Rosyanin tak zwany bogacz nie dawałby tylko dla tego swéj córki nawet Polakowi zesłanemu, że jest zesłany, a on to wolny, pochodzący tylko od zesłanych za zbrodnię rodziców. Chłop niezamożny zresztą tak nad Leną jak w całéj Syberyi chętnie by oddawał jednemu Polakowi — dwie córki na raz, bo przecież jaki taki, choć nie wielki kałym by za nie dostał, parę kangarskich butów n. p. lub parę ogromnych skórzanych rękawiczek, albo téż sztuczkę niebieskiego perkalu, lub czerwoną koszulę z „francuskiego“ perkalu i t. p. cenne rzeczy.

Trzeba mi jeszcze — dla ostatecznego odstraszenia Czytelniczek od kałymu płaconego przez przyszłego pana — powiedzieć i to, że gospodyni przez cały czas pożycia z gospodarzem nie ma prawa żądać od niego nawet szpilki. O wszystko sama starać się musi. Jak? — to jéj interes. Oprócz tego ciąży jeszcze na niéj obowiązek starać się o przyodziewek dla córek, dopóki te same zarabiać sobie jeszcze nic nie mogą, a dopiero od tego czasu, każda dziewczyna kłopocze się o siebie. Zaiste doskonały zwyczaj dla — szerzenia korrupcyi.

Ostatnia wołość przed Ustkutską jest Orlińska. Cała ta wołość, t. j. wszystkie do niéj należące wsie są biedne. Jedna tylko zdawała mi się nieco zamożniejszą.

Skutkiem téj biedy w owéj wołości, jechaliśmy kilka dni, mając zaledwie chleba do syta, bo i tego trudno było dostawać, choć za funt czarnego chleba płaciliśmy po 7 kop. (14 groszy pol).

Dojechaliśmy tak biednie do téj wsi, o któréj co tylko wspomniałem, że mi się nieco zamożniejszą zdawała. Ona należała do największych w całéj wołości.

Ledwie przyjechaliśmy do téj wsi, to i wyskoczyliśmy z łodzi i rozproszywszy się po całéj wsi, szukaliśmy jakich takich pokarmów. Po upływie godziny wróciliśmy wszyscy do łodzi — z próżnemi workami; ani chleba nawet nikt nie dostał kupić.

Dwóch jednak kolegów odkryło dom, w którym widocznie było wszystkiego w dostatku, lecz po prostu nie chciano nic odstąpić; powiedziano im, że sami potrzebują wszystkiego dla siebie.

Lecz przy téj sposobności zrobili odkrycie, które w naszém położeniu było bardzo ważne. Spostrzegli w tym domu — chorą kobietę, najstarszą córkę gospodarza. Jeden z kolegów, warszawiak, zaraz umiał z téj sposobności skorzystać, żałując choréj, powiedział że w partyi jest lekarz.

W całéj Syberyi Polacy uchodzą za mądrych ludzi, za ludzi, którzy się na wszystkiem znają, wszystko wiedzą i umieją. Że tam téż lud jest nader przesądny, że mianowicie wierzy w sympatyczne leczenie, zapewne nikogo nie zadziwia, boć to jeszcze u nas nie tylko lud prosty, ale i nieco wyższe wykształceniem warstwy wierzą w nie jeden przesąd, nie jedno głupstwo.

Gospodarz i gospodyni kazali prosić lekarza, by przybył do ich córki.

Koledzy — mnie wystrychnęli na owego lekarza, a to z dwóch przyczyn, mianowicie, że nosiłem niebieskie konserwy — cierpiałem ból oczu — i że miałem mały zapas rozmaitych proszków n. p. emetyku, jalapy, sody i t. p., które sobie na przypadek choroby w czasie podróży przygotowałem w Irkutsku. Przyjąłem rolę, jaką mi naznaczono, poszedłem do domu, w którym była pacyentka, i z poważną miną badałem wszystkie okoliczności. Skutkiem moich diagnostycznych badań doszedłem, że dziewczyna choruje od „maślanicy“, od zapust, ergo — zachorowała skutkiem przejedzenia się mięsem, lub staremi jajami, albo staremi rybami. Daléj, że zrana miewa zimno, a potém jéj niezmiernie gorąco — tak samo mi bywało, kiedy sam miewałem febrę; ergo i tu febra. Na dobitkę kazałem sobie pokazać język, który badawczém okiem znawcy — rozumie

się udawanego — oglądałem, jak również przez kilka sekund puls macałem.

Przyznaję się, że bardziéj badałem stan polic i przedpiecka, i lepiéj na tém się znałem jak na pulsie. To téż z pulsu niczego się nie dowiedziałem, kiedy moje inne badania sprawdziły to, co mi już koledzy powiedzieli — że tu wszystkiego pełno.

Znając już charakter ludu, wiedząc zatém jakim sposobem dojść tu do celu t. j. do rozmaitych zapasów pokarmowych, z zimną krwią, ale stanowczo rzekłem: tu jest przestarzała febra, chorą bezemnie djabli wezmą, bo tylko ja ją jeszcze od śmierci ratować mogę; ale ja natychmiast odjadę, a za kilka dni sam święty Mikołaj „czudotwórca“ już tu nic nie poradzi.

Pocieszając tak i pacyentkę i jéj rodzinę, udawałem że chcę wychodzić z domu. Zaczęto kapitulować.

Nasamprzód badano mnie jakim sposobem chcę leczyć, czy lekarstwem, czy téż zamówieniem. Rozumie się, że powiedziałem że to ja zwykle robię razem, gdyż jedno mogłoby chybić, albo też w pewnych razach niedostatecznie skutkować. Następnie dowiadywano się ile żądam za moją pomoc, na co odrzekłem, że się wcale nie podejmuję kuracyi, gdyż w téj chwili siadamy do łódki by płynąć daléj, nie pragnąc wcale by u nich umrzeć z głodu.

Ta groźba skutkowała.

Chcieli bym zaraz przystąpił do kuracyi, przyrzekając, że natychmiast dadzą ile potrzeba do jedzenia dla wszystkich. Lecz ponieważ tego nie było dosyć, bo jeszcze dwa do trzech dni podróży nas czekało w tak biednéj okolicy, trzeba było kuć żelazo póki było gorące.

Powiedziałem zatém, że moje zamówienie tylko skutkuje, kiedy się ono używa przed wschodem słońca, a ponieważ wieczór już nie daleki, nie mogę się zabrać do leczenia. Zdecydowano więc, że nas przez następny dzień karmić będą wszystkich, bym tylko klejnot ich uratował, bo to dzielna robotnica. Odchodząc zadysponowałem, żeby jutro rano rychło przed wschodem słońca był gotowy samowar, gdyż mi potrzeba będzie dużo ciepłéj wody.

Nazajutrz godzinę przed wschodem słońca byłem u pacyentki, mając w papierku półtora dozy ipecacuany. Zaraz po przybyciu mojém przekonałem się że samowar z ciepłą wodą gotowy i że mogę przystąpić do ważnego aktu leczenia za pomocą sympatycznego środka w połączeniu z porządną dozą ipecacuany.

Wypędziłem wszystkich — rozumie się prócz pacyentki — z domu, aby nie wiedzieli jakie komedye robię z proszkiem, bo przy zamówieniu nikt prócz samego zamawiającego i chorego obecnym być nie powinien. Wiedziałem z góry, że im mniéj będzie widzów w izbie, tym więcéj ich będzie na dworze i że przez każdą szczelinę para ócz patrzeć będzie na moje zażegnywanie, które zdaje się tyle skutkuje, ile błoga rewalentjera Dubarryego i Hoffa ekstrakt słodowy.

Przynajmniéj kopę razy dygałem się przed obrazem Mikołaja czy Inokientego — najznakomitszych cudotwórców wsejrosyjskiego państwa — spluwałem, ile razy zdawało mi się potrzebném, robiłem krzyże i inne znaki użyteczne i potrzebne nad proszkiem i samowarem i filiżanką, z której chora ciepłą wodę pić będzie; słowem używałem wszystkich środków exorcyzmu w największéj obfitości, będąc pewnym że to nic nie kosztuje, a coś zawsze przynosić może, i kiedy tak z pół godziny walczyłem ze złemi duchami i prawdopodobnie już odniósłem nad nimi walne zwycięztwo — wysypałem choréj proszek na język i kazałem jéj pić ciepłą wodę. Wody téj mianowicie mojéj pacyentce nie żałowałem; wciąż wołałem: pij, pij! i udało się mi jéj wpraktykować z jakie półtora garnca téj także zażegnanéj i zamówionéj, a głównie ciepłéj wody.

Skutek mego exorcyzmu, proszku i ciepłéj wody, każdy sobie wyobrazi; był przynajmniéj tak energiczny, jak moje zamówienie, i kiedy się pokazało, że już kompletny, wpuściłem wszystkich do izby, kazałem wynieść z niéj co już nie było potrzebném, i z dobrym apetytem zasiadłem do samowaru, zalecając jednak en bon docteur choréj największą dyetę.

W zwykłym czasie tego dnia nie miała chora ni zimno ni gorąco; po południu nawet wstała, co ja naturalnie ganiłem; przepisałem na długi czas dyetę, rozporządzając co jeść, a więcéj jeszcze czego nie jeść i nie pić, i zdaje się, że ten mój przepis powinien był starczyć do najbliższéj maślannéj.

Kiedy syberyacy widzieli, że moja operacya tak doskonale skutkowała, ofiarowali mi pięciorublówkę jako honoraryum. Ja jéj nie przyjąłem, a prosiłem żeby nam dali nieco zapasów na drogę, ponieważ — jak już powiedziałem — jeszcze kilka bardzo biednych wiosek mieliśmy przed sobą. Napakowali nam masę mięsa, mąki, chleba, twarogu, jaj do łódki, w któréj nazajutrz po moim praktycznym egzaminie w sztuce lekarskiéj popłynęliśmy daléj; mieliśmy wszyscy dosyć na jakie trzy lub cztery dni, t. j. na cały czas naszéj dalszéj podróży do Ustkutty.

Mocno żałowałem w téj okolicy, że nie miałem proszku za pomocą którego byłoby można wyleczyć kobiety i mężczyzny z wypękłego gardła (croupe), któreto bardzo często widzieć można. Słowa na wypędzenie djabła, mający w téj chorobie udział, doskonale umiałem; przy ich i dobrego proszku pomocy, byłbym może nie jednéj kobiecie dopomógł do restylacyi in integrum praw swoich do miana „piękna płeć“, a sam byłbym z kolegami bez wszelkiéj biedy podróżował.

Wypękłe gardło w ogóle jest częste nad Leną i za Bajkałem w okolicach bogatych w stojącą wodę, i gdzie jak nad Leną, wysokie ściany gór, a na nich olbrzymie drzewa tamują wolny przewiew powietrza. Rząd w tych okolicach nic nie czyni dla biednéj ludności, która nieraz do kretynizmu dochodzi. Kiedy już złe jest do tego stopnia ogólném, że się obawiać należy zupełnego zatracenia kolonii, kosztem rządu przenoszą się mieszkańcy w inną stronę rozległego kraju. Tak rząd postąpił z mieszkańcami nad rzeką Urow, Argun i Urymkan, które to okolice były pełne mieszkańców zarażonych krupem.

Jeżeli gdzie, to w Syberyi każdy przekonać się może o prawdzie zasady, że dobrobyt jest podstawą oświaty i moralności. W okolicach, których mieszkańcy zamożni, lekarze jak ja — a takich znów z największéj biedy, namnożyło się z naszych wygnańców bardzo wiele — nie mają albo wcale zajęcia, albo téż w wyjątkowych tylko razach, kiedy odwrotnie znów w stronach biednych, szarlataneryа, jak moja, bardzo popłaca. A znów gdyby nie bieda naszego położenia, czyby się ktokolwiek z nas, nie będąc rzeczywistym lekarzem, był wziął do leczenia człowieka? Każdy z nas byłby takiego potępił, a tu — kto mógł wziął się z głodu do leczenia.

Prawda, że chorób w Syberyi nie ma wiele. Gastryczne febry, jak w ogóle choroby powstające tam, gdzie klimat jest zmienny, a mianowicie katarowe, w Syberyi są prawie nieznane — prócz we więzieniach — a inne choroby jak w opisanym przypadku febra, pochodząca z przejedzenia, niestrawności i t. p. womitywa, lub sól glauberska łatwo kurują, a te środki, w miarę używane, nie zagrażają życiu.

Im daléj się jedzie po Lenie ku północy — a czasem nawet ku zachodowi — tém okolice stają się dzikszemi, góry rosną, olbrzymieją, ale tém téż częściéj spotyka się podróżny z twarzą Tunguza, żyjącym w głębi lasów tych okolic, a wychodzącym tylko z téj nieprzebytéj kryjówki, żeby się zaopatrywać w proch, mąkę, ceglastą herbatę, do któréj podobno już przywykł, i inne podobne potrzeby, za które oddaje skóry niedźwiedzi, jeleni, łosi, wiewiórek czarnych, czarnych lisów, które są w najwyższéj cenie i soboli.

Uczucie nasze, myśl nasza wzdrygają się przy czytaniu nauki Vogta, Darwina i innych badaczy, którzy z najzimniejszą krwią w świecie twierdzą, że człowiek jest tylko wyżéj rozwiniętém zwierzęciem, że protoplasty jego i antenatów szukać trzeba w rodzie małpów. Od saméj najrańszéj młodości naszéj wpajano w nas przekonanie, że człowiek — to korona stworzenia, to pan świata, wyższy nad wszystkie inne utwory.

Nie tu miejsce rozbierać tę kwestyę; mówić pro lub contra jednéj z tych idei. Lecz to tu muszę powiedzieć, że nawet wielki Cuvier, ojciec anatomii porównawczéj, mógł się mylić w swém zadaniu, twierdząc że się już nie znajdzie śladu człowieka w przedostatnim peryodzie geologicznym, dla tego — że go dotąd t. j. do jego czasów nie znaleziono. Zmiany ras ludzi pod naszemi oczyma się odbywają, czaszka nasza powiększa się w miarę jak się nasza inteligencya powiększa i zmniejsza się w stosunku jak inteligencyi ubywa. Już Homer powiada, że Jowisz z przenikającym wzrokiem odbiera połowę rozumu tym ludziom, których wskazał być niewolnikami.

Fizyonomię Tunguza opisałem, kiedy kreśliłem obrazek burjata; formy tylko są wyrazistsze jeszcze, rysy grubsze, wybitniejsze, a u Jakuta one dochodzą do zwierzęcości. Kamczadalów i Ochotczan nie widziałem; ale jeśli daléj ku wschodowi tak potęgują się ślady zwierzęcego pochodzenia na twarzy i całém ciele człowieka, a nawet na jego umyśle, to w takim razie zapewne tam, gdzie obecnie fale Spokojnego Oceanu się znajdują, szukać należy protoplastów ludzi, z których ojczyzny najwyższe szczyty gór obecnie tylko w kształcie wysp jako ślad się pozostały.

Tunguz koczuje w Tajdze, on zna jéj tajemnice, jak zna tajemnice Tundrów, błót i torfowisk niezmiernie rozległych w północnéj Syberyi. W tych swoich dzielnicach żyje on z polowania i rybołówstwa, ma wielkie stada reniferów które części pokarmu jemu dostarczają i jego główne bogactwo stanowią. Latem jemu służą do zaprzęgu, w czém je zimą psy zastępują, które z niezmierną bystrością unoszą lekkie „narty“, saneczki wązkie a długie, do których podróżującego przywięzywać trzeba. Gdyby bowiem spadł w czasie jazdy zginąłby. Żadna siła nie jest w stanie zatrzymać psów, puszczonych z resztą bez wodzy, a nie karmionych przed podróżą, z przyczyny któréj téż szalenie pędzą, bo wiedzą, że na najbliższym stanku je nakarmią.

Tak lekkie jak są narty (sanki) Tunguza, taka jest i jego łódka. Nieraz wyciągnąłem taką tunguzką łódkę z Leny, a późniéj z Kutty, i porządny kawał ją odniósłem do brzegu, żeby jéj przypadkowo cichy wiatr nie uniósł na wodę. Ramy i żebra takiéj łódki są na cal kwadratowy grubości lisztewki z brzozowego drzewa, związane wicią a powleczone brzozową korą. Lud rosyjski przezwał te łódki „duszogubcami“, bo téż zaiste strach ogarnia, gdy pierwszy raz w taką łódkę, która jednak dwóch dorosłych ludzi z łatwością wytrzyma, wsiadasz. Można być w obawie, że duszę się straci, bo na oko życie rezykuje. Ale i do tego człowiek przywyka, jak do — gry hazartownéj i jak ona, tak i jazda w tunguzkiéj łódzce staje się przyjemnością. Widziałem raz w czasie wielkiéj burzy, kiedy fale Leny wyżéj niż na sążeń się wznosiły tak że my we wielkiéj łódzce drzeli ze strachu, kilka kobiet a nawet i dzieci jadących w takich słabych łupinach które, jak się zdaje, lada fala zdruzgotać może.

Na dwie mile od Ustkutty już uczuje człowiek, że się zbliża do okolicy w sól nader bogatéj. Wielkie mnóstwo źródeł tuż nad brzegami Leny sprawia, że wody do herbaty bezpośrednio nad brzegami czerpać nie można, ale dopiero na jakie dwadzieścia lub trzydzieści kroków od brzegu, czemu głębokość Leny tu jeszcze nie przeszkadza. Można wszędzie bez wyjątku, aż do okolicy Ustkutty nie trzydzieci ale trzysta kroków wchodzić do téj rzeki, nie mając wody wiele wyżéj kolan.

W jednéj wsi nie daleko już saméj Ustkutty, ludzie bezpośrednio czerpią wodę z źródła bijącego przeszło dwieście kroków od Leny i w niéj gotują swoje jedzenie, nie kupując już soli do gotowania.

Kiedyś ta okolica zakwitnie! Jest ona tak bogata, że nawet niepodobno przypuszczać, by ona nie miała jeszcze odegrać swéj roli w historyi cywilizacyi ludzkiego rodu, by nie miała wywierać już innego wpływu na ludzkość nad ten, jaki ma obecnie, t. j. że jest siedliskiem kilku urzędników moskiewskich, kilkudziesięciu zesłanych zbrodniarzy, dzikich zwierząt, za któremi się ugania na wpół dziki Tunguz, którego nawet hurtowne a przymusowe najczęściéj ochrzcenie nie przekształci na cywilizowanego człowieka.

I tu światło się wciśnie powoli, w miarę jak się ludność pomnoży i wtenczas tu rozwinie się przemysł a z nim i życie umysłowe, które obecnie tam śpi, lub jest zagrzebane, przywalone, jak materyalne skarby téj ziemi.

Czwartego Sierpnia 1866 mieliśmy przybyć do Ustkutty, taki był nasz marszrut — a byd po siemu, podpisywał zawsze imperator Mikołaj — i my stanęliśmy tego dnia w naznaczonem miejscu.

KOŚCIÓŁ I PRZEDMIEŚCIE ŚW. WOJCIECHA.

(Z ryciną.)

Niniejsza rycina przedstawia widok kościoła parochialnego Św. Wojciecha i przedmieścia tegoż nazwiska, zdjęty od strony rzeki Warty. Kto i kiedy świątynię tę wystawił nie dochowały nam dzieje, to jednak pewna iż takowa należy do najdawniejszych w Poznaniu. Nim jeszcze Przemysław I, książe Wielkopolski, przeniósł Poznań z prawego na lewy brzeg Warty istniał już — jakkolwiek nie w dzisiejszéj swéj postaci kościół w mowie będący. Kiedyząś w kształcie obecnym wystawionym został nie można nigdzie znaleźć wzmianki; wnosząc jednak ze stylu budowy, uważaćby go można za dzieło XVI wieku. W kościele tym miała grób swój dość znaczna niegdyś w Polsce a dziś już całkiem wygasła familia Naramowskich herbu Łodzia, któréj wizerunki dziś jeszcze na ścianach widzieć można. Prócz tych znajduje się zewnątrz kościoła nagrobek księdza Turskiego zmarłego w roku 1592, a wewnątrz nagrobek Stanisława Stryjkowskiego zmarłego r. 1669, przeniesiony w nowszych czasach z dawniejszego klasztoru Karmelitów Bosych obróconego dziś na ewangelicki kościół tak zwany garnizonowy.

Początek przedmieścia Św. Wojciecha nie jest zapewne mniéj dawnym jak sam w mowie będący kościół. Osada ta, powstała naturalnym przebiegiem rzeczy pierwotnie z zabudowań kościelnych, domów dla służby kościoła i t. p. istniała już również przed przeniesieniem Poznania na lewy brzeg Warty, stanowiąc jakoby osobne miasteczko z własną jurysdykcyą a jako powstała na gruntach kościelnych do kościoła Św. Wojciecha należała. Dopiero kiedy stała się przedmieściem Poznania, podciągnął ją Magistrat poznański pod swoje zwierzchnictwo, o co jednak upomniawszy się kościół rzeczony, uzyskał od Zygmunta I w r. 1510 korzystny dla siebie przywiléj. Przedmieście to rozciągało się niegdyś od kościoła do Winiar i do bramy wronieckiéj, stanowiąc jednę ulicę. Zresztą jako integralna część miasta dzieliło przedmieście to wszystkie losy Poznania, nie zatrzymawszy wyłącznie dla siebie żadnych wspomnień historycznych krom tego iż w ostatnim czasie stało się miejscem urodzenia Karola Marcinkowskiego, męża, który pracą i poświęceniem dając przykład jak krajowi i ludzkości służyć należy, tak wysokie w społeczeństwie naszém zajął stanowisko.

Szarada.

Gdy wszystka w drugiem pierwszem ma trzecie tysięcy.
Dziś pierwsze trzecie drugie świat wymagań więcéj.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 33: *Kosa.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu W. Z. w P.: Przypominamy się łaskawéj pamięci. — Panu A. w L.: Poezye pańskie drukowane nie będa. — Panu W. Szeliskiemu w Drożdżynie: Prenumeratę na Encyklopedyą i dzieła Kraszewskiego odebraliśmy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).